

Kringum Island 2010 - część 1.

Rowerowa wyprawa wokół Islandii Bartka Stasiaka i Magdy Rzychoń

Bartosz Stasiak

Po wielu dniach planowania, gromadzenia ekwipunku oraz zbierania informacji wybiła godzina zero ostatnie wyzwanie to pakowanie się.



Linia Iceland Express wyznacza następujące limity bagażu: 10kg w torbie podręcznej, 20kg bagażu rejestrowalnego oraz rower max 12kg. Już pierwsze ważenie rowerów i zaskoczenie – jeden rower to 14.5 kg, drugi z przyczepką 16 kg. Najpierw zapakowaliśmy je w pudła –okazało się, że jedno grube pudło waży 3,5kg, co z i tak już za ciężkimi rowerami naraża nas na duży nadbagaż i dopłaty. Szybko z nich zrezygnowaliśmy, na allegro kupiłem folię stretch używaną głównie do foliowania towaru na paletach w magazynach i sklepach. Następnie przystąpiłem do rozmontowania rowerów, do walizy powędrowały oba widelce, pedały, rogi, bagażniki, części zamienne, klucze serwisowe. Resztę, czyli w zasadzie ramy rowerowe z kołami, owinęliśmy folią (dalej były lekko przeważone, ale mieliśmy nadzieję, że nie będą skrupulatnie pilnować na lotnisku ciężaru). Dodatkowo okazało się, że kupiliśmy za dużo jedzenia. W efekcie wszystkie bagaże były na granicy dopuszczalnego limitu ciężaru a i tak do reklamówki wzięliśmy konserwy z zamiarem znalezienia kogoś na lotnisku, kto je przewiezie dla nas w swoim bagażu.

Dodatkowe zakupy to:

Euro26 sport - zmienił się ubezpieczyciel, z Signal Iduna na AXA – normalna karta EURO niewiele już obejmuje, dodatkowo wzrosła cena, do ponad 130 zł no, ale przezorny zawsze zabezpieczony

EKUZ – wyrobienie od ręki w lokalnym oddziale NFZ

Market spożywczy – kupiliśmy jedzenia za ok. 100 zł, co jak później się okazało, wystarczyło nam na ok. 6-7 dni(w tym czasie kupowaliśmy tylko pieczywo)

Sklep kosmetyczny – krem nawilżający bambino, oraz krem do opalania (na początku wyśmiałem Magdę, ale potem na wyspie dziękowałem, że się upierała przy jego kupnie)

Dzień 1 czyli wylot i pierwsze kilometry na Islandii
28km

Na Lotnisko w Balicach przybyliśmy 4h przed odlotem. W terminalu odlotów spotkaliśmy Adriana i Agnieszkę, dwójkę rowerzystów, którzy planowali przejechać Islandie Interiorem. Nikogo nie udało się znaleźć kto by nam mógł (i/lub chciał) przewieźć przez odprawę bagażową nasze konserwy Włożyliśmy je więc do kieszeni polarów i kurtek licząc na to, że ich nie skonfiskują. Okazało się, że nie było żadnych problemów. Przy odprawie rowerów spotkała nas bardzo miła niespodzianka. Okazało się, że lotnisko krakowskie nie ma podpisanej umowy z islandzkim przewoźnikiem, nie dysponują kasą, która pobiera dla nich opłaty – w efekcie rowery zostały zabrane za darmo do samolotu, bez ważenia, a nam zostało w kieszeniach po 25 euro na osobę. Samolot nie był pełny, zajęte było może 2/3 miejsc. Nie wiem czy to wynikało ze strachu przed wulkanem czy może faktu że Islandia uchodzi za kraj bardzo drogi i niegościnnie dla turystów...pewnie złożyło się na to wiele czynników. Magda po awiamarinie szybko poszła spać a ja przez 4h czytałem przewodnik i wypatrywałem lądu przez okienko w samolocie. Przylcieliśmy na wyspę o 16-tej islandzkiego czasu. W tym momencie w Polsce była już 18-ta.



Na lotnisko w Keflaviku szybko odebraliśmy bagaże i rozpoczęło się nerwowe oczekiwanie na rowery, kiedy to modliliśmy się żeby obsługa lotniska ich nie uszkodziła przenosząc – na szczęście okazało się, że wszystkie części było w stanie idealnym, nic nie było poniszczone i od razu po ich odebraniu zabraliśmy się za montaż przed lotniskiem, ponieważ w środku było to teoretycznie zabronione. Wiem, że niektórzy się nie przejmują tego typu zakazami ale było dość ciepło (14 stopni) a my mieliśmy porządnie rozfragmentowane rowery – nie chcieliśmy ryzykować wyrzucenia na zewnątrz w momencie skręcania. Zamiast tego wyjechalismy z rowerami przed terminal i na chodniku rozpoczęliśmy operację składania sprzętu. Zajęło nam to jakieś 3h. W czasie tych manewrów poznaliśmy Piotrkę – studenta informatyki, który na lotnisko w Balicach przyjechał tuż przed zamknięciem odpraw bagażowych – dlatego nie spotkaliśmy się w czasie odprawy. Zapytał się nas czy może z nami popedałować przez kilka dni na co bez problemu przystaliśmy. Jak się później okazało jechaliśmy razem tylko 3 dni, gdyż wtedy nasze drogi i plany zaczęły się różnić. Po skręceniu wszystkich części, wziąłem

nasze walizy, folie taśmy itp. pod pachę i powędrowałem na poszukiwanie miejsca gdzie mógłbym je przechować. Przemiła kobieta siedząca w biurze wypożyczalni samochodów udostępniła mi składzik – szybko napisałem kartkę żeby nie wyrzucać walizki do 4 sierpnia, przykleiłem z zewnątrz, grzecznie podziękowałem i opuściłem biuro mając nadzieję że zastanę je w tym samym miejscu po 4 tygodniach.

Opuściliśmy lotnisko o godzinie 20.00 (równo 4h po przylocie). Mieliśmy w planach szybki przejazd do Reykjavíku, gdzie dzięki portalowi cochsuring udało nam się poznać Lukasa, który zaprosił nas do siebie na noc. Niestety nie udało nam się dojechać – było słonecznie, ale silny wiatr w twarz zmusił nas do nocowania 22km przed Reykjavíkiem w ogródku u starszej Islandki. Chroniąc się przed wiatrem, namioty rozbiliśmy w dole niedaleko jej domu, tuż obok białego krzyża (który okazał się być wbitym nad grobem konia, który zdechł kilka dni wcześniej). Kobieta była bardzo miła i gościnna, zaprosiła nas do środka, gdzie skorzystaliśmy z jej kuchni gotując makaron oraz udostępniła nam swoją łazienkę. Spać poszliśmy grubo po północy.

Dzień drugi czyli Stolicy zwiedzanie

79km

Rano przywitał nas silny, północny wiatr – do stolicy wiał nam cały czas w twarz. Po drodze zjedliśmy śniadanie (Bonus, taka nasza polska Biedronka, był zamknięty, gdyż otwierany jest z reguły o 10.) więc w piekarni kupiliśmy chleb i który zjedliśmy smarując go biedronkowym pasztetem. Droga do Reykjavíku była bardzo zatłoczona – jechało się nieprzyjemnie ale nie narzekaliśmy. W stolicy spędziliśmy tylko kilka godzin. Szybkie zdjęcie pod słynnym kościołem Hallgrímskirkja i pojechaliśmy do centrum do informacji turystycznej zapytać o pocztę i możliwość sprzedaży euro. Po uzyskaniu tych informacji usiedliśmy w trójkę przy stoliku przed Informacją gdzie chcieliśmy zjeść nasz kanapkowy obiad. W pewnym momencie zaczepił nas pewien mężczyzna – Polak pracujący w tejże restauracji jako kucharz. Rozmawialiśmy kilkanaście minut, po czym Magda wspomniała mu że mamy w planach spróbowanie islandzkich przysmaków: wódki kminkowej i zgniętego rekina (Hakarl) – usłyszeliśmy tylko „Poczekajcie chwilę”. Po 10 minutach mężczyzna wrócił z kilkoma fragmentami rekina. Kawałki mięsa były mniejsze niż kości do gry – jednak to wystarczyło, żebyśmy poczuli jak niedobre one są. Ten rekin jest najpierw trzymany w ziemi 2 miesiące aby pozbył się trucizny zalegającej w jego ciele (amoniak i mocznik), a potem suszony na powietrzu kolejne 4 kolejne miesiące – smakuje jak guma do żucia, jednak najgorszy jest wstrętny posmak amoniaku i mocznika jaki zostaje po zjedzeniu tych kawałków – zapach moczu w nosie utrzymywał się aż do wieczora, a najbardziej cierpiała Magda, która zjadła aż trzy kawałki (my z Piotrkim zadowoliliśmy się pojedynczymi kawałkami).



Z Reykjavíku pojechaliśmy na wschód, drogą numer 1 – mieliśmy w planach dojechać do Selfoss jednak zmienny wiatr i duża liczba niezbyt ostrych, ale za to długich podjazdów zrewidowała nasze oczekiwanie i dojechaliśmy tylko do Hveragerdi – małego miasteczka leżącego przy głównej trasie. Po drodze widzieliśmy wiele kominów pary wodnej. Do jednych podjechaliśmy – okazał się to być dół pełen wrzącego błota – zapach siarkowodoru dominował nad całą okolicą, jednak bardzo pozytywnie znieśliśmy pierwsze spotkanie z islandzkimi zapachami geotermalnymi. Wzięliśmy prysznic na polu namiotowym i rozbiliśmy się w zagajniku na skraju miasta.



Dzień 3 czyli pierwsze zwiedzanie
Dystans: 30 km

Od rana mieliśmy piękną pogodę, z niewielkim nieprzeszkadzającym za bardzo wiatrem. Zjedliśmy śniadanie na ławkach pod Bonusem. Było bardzo ciepło, temperatura oscylowała w granicach 15-20 stopni. O 12 dotarliśmy do Selfoss gdzie rozstaliśmy się z Piotrkim. W tym miejscu znajduje się odbicie na największy w Islandii gorący gejzer (słup wody na 20 m) oraz słynny wodospad Gullfoss. Piotrek chciał tam jechać na rowerze, ale my zdecydowaliśmy, że szkoda sił na jazdę 50 km w jedną stronę i powrót tą samą drogą, więc postanowiliśmy odbyć tą trasę autostopem. Zostawiliśmy rowery na stacji benzynowej (kasjerką była Polka!) i rozpoczęliśmy machanie łapkami. Szło nam różnie. Na dostanie się do gejzera potrzebowaliśmy 3 aut, do wodospadu (kilka km dalej) kolejnego. Zarówno Gejzir jak i wodospad zrobiły na nas niesamowite wrażenie. Niestety, w czasie pobytu nad Gullfosem pogoda zaczęła się psuć – szybko obfotografowaliśmy co się dało i pomaszerowaliśmy na powrotnego stopa – szybko zatrzymała nam się para Niemców, którzy zwieźli nas aż na sam dół, na stację benzynową, na której zostawiliśmy nasze rowery. Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze na 5 minut, żeby zobaczyć przydrożny powulkaniczny krater z jeziorkiem w środku. Na stacji benzynowej zjedliśmy kilka kanapek i pojechaliśmy dalej. Niestety zła pogoda została z nami – deszcz towarzyszył nam cały czas i zmusił do wcześniejszego rozbicia się przy letnim domku sympatycznych Islandczyków.



Dzien 4 czyli w hołdzie amerykańskim producentom kuchenek turystycznych....
86 km

Padało cały dzień, aż do wieczora, zwłaszcza przez pierwsze 30km. Staraliśmy się przeczekać na stacjach benzynowych i supermarketach ale i tak cały czas byliśmy mokrzy. Udało nam się dojechać pod słynny wulkan Eyjafjallajokull. Z drogi do woreczka zabrałem trochę pyłu wulkanicznego (jak się później dowiedzieliśmy, w stolicy małe słoiczki z pyłem były sprzedawane turystom za 1000 koron – 26 zł!). Po drodze widzieliśmy piękny wodospad –bajkowy, 40 metrowy cud natury. Jego wyjątkowość polegała na tym, że niczym w kreskówkach, można było wejść za niego i stanąć pomiędzy kolumną wody a skałą. Dalej droga prowadziła pomiędzy oceanem z prawej strony, a masywem górskim z lewej. Droga zrobiła się pusta, czasem samochód przejeżdżał raz na 10 min co nas, rowerzystów bardzo cieszyło. Rozbiliśmy się w miejscowości Skogar – wiosce, która leży u stóp kolejnego wodospadu – idealnie prostego 60 metrowego wodospadu Skogafoss. W wiosce trwały w tym czasie koncerty i mały festyn z okazji zakończenia erupcji wulkanu, który zapylił całą Europę w kwietniu –nam to jednak nie przeszkadzało, ponieważ zmęczeniu zasnęliśmy od razu. Tutaj zepsuła nam się kuchenka benzynowa - prawdopodobnie zapchała się dysza co postawiło nas przed wizją braku herbaty i ciepłych posiłków wieczorem. Nie będę wymieniał tutaj nazwy producenta tego sprzętu ale drugi raz nie kupię żadnego Colemana....Postanowiliśmy, że kolejnego dnia spróbujemy znaleźć kogoś, kto umie ją naprawić, a jeśli to zawiedzie – kupimy

palnik gazowy.



Dzień 5 czyli pierwsze podjazdy 105km

Ten dzień przywitał nas piękną pogodą. Początek dnia przyjemny, łatwa prosta trasa, mało aut, piękne krajobrazy... podjazdy zaczęły się przed Vik – najpierw jedno krótkie i ostre wzniesienie, a parę kilometrów dalej 12% kilkukilometrowy podjazd który pokonaliśmy na najniższych przełożeniach. Zjazd za to był przyjemnością samą w sobie – ustawiony na granicy miasta radar z tablicą świetlną pokazał nam naszą prędkość (ja 44km/h, Magda 47km/h). Nie jest to może oszałamiający wynik, ale na nasze usprawiedliwienie dodam że wtedy już hamowaliśmy....kilkaset metrów wyżej mój licznik pokazywał 61,8km/h!! W Vik nie udało nam się kupić palnika gazowego z butlą, na stacji benzynowej też nie i nikt nie potrafił wskazać nam

kogoś, kto naprawiłby kuchenkę. Wizja kolejnego wieczoru bez ciepłej kolacji była coraz bardziej realna, ale nic nie mogliśmy zrobić. Trzeba było tylko zacisnąć zęby i czekać na kolejne miasta licząc, że wreszcie uda nam się kupić palnik. Tutaj zjedliśmy po słynnym Islandzkim hot-dogu (Pylsur- 250kr – ok. 5.50zł). Składał się z bułki, parówki, dwóch rodzajów cebuli (świeża i prażona) oraz trzech sosów: ketchup, musztarda oraz remolada (rodzaj przyprawionego majonezu). Jest to stosunkowo niedrogo jak na Islandię oraz przepyszne danie. Za Vik rozciągało się wielokilometrowe wypłaszczenie bez żadnych zabudowań. Na szczęście mieliśmy silny wiatr w plecy i te 25km przelecieliśmy w niewiele ponad godzinę. Krajobraz zmienił się. Teraz dominowało coś co ochrzciłem „kamieniskiem” – było to nic innego jak wielokilometrowa połać pokryta wielkimi, wulkanicznymi głazami porośniętymi grubym, miękkim mchem. Rozbiliśmy obóz nad rzeką, wśród nielicznych drzew, kilka kilometrów przed miejscowością Kirkjubaejarklaustur. Wieczorem walczyłem jeszcze z kuchenką, próbowałem przedmuchać dysze, jednak nie udało mi się.



Dzień 6 czyli nie podoba ci się pogoda na Islandii? Poczekaj 5 min...
80km

Obudził nas deszcz, który przeczekaliśmy w namiocie. Niestety drugi złapał nas w momencie zwijania tropiku. Na szczęście był to intensywny, ale przelotny opad, który szybko odszedł. Niebo pozostało zachmurzone, ale do wieczora mieliśmy

spokój. Na śniadanie zjechaliśmy do Kirkejuberka...(do dziś zastanawiamy się jak można to płynnie wymówić), gdzie wreszcie udało nam się kupić palnik z butlą (razem 10 000 kr czyli ok. 260 zł – rozbój w biały dzień!!) No ale nie zastanawialiśmy się długo. Po śniadaniu skierowaliśmy się w stronę lodowca Vatnajokull i pod wieczór dotarliśmy do Parku Narodowego Skaftafell – przed parkiem rozciągała się przez 30 km pustynia. To miejsce po powodzi wywołanej wybuchem podlodowcowego wulkanu w 1996r. kiedy to w kilka godzin poziom wody z 50 cm podniósł się do 15 m! Woda zmiotła wszystko, razem z mostem którego pozostałości, pogięte fragmenty zostały pozostawione przy drodze jako pomnik. W Parku Narodowym znajdował się duży i zatłoczony kamping. Wzięliśmy na nim prysznic (na monety: 5min kosztowało 300 kr czyli ok. 7.50zł) i rozbiliśmy się w krzakach niedaleko kempingu.



Dzień 7 trochę spacerku trochę rowerku...
44km

Urządziliśmy sobie wczesną pobudkę i pobiegliśmy zjeść śniadanie na ławkach przed centrum turystycznym. Kupiliśmy też mapę Parku Narodowego (300 Kr), pomogliśmy francuskiemu rowerzyście dokręcić lewą korbę, zostawiliśmy ekwipunek w biurze organizującym piesze wycieczki po lodowcu i w drogę. Spacerowaliśmy łącznie 4h, widzieliśmy z góry lodowiec oraz piękne wodospady (w

tym słynny Svartifoss, z bazaltowymi kolumnami po obu stronach). Po powrocie do rowerów, niezastanawiając się długo popedałowaliśmy dalej na wschód (po drodze w bardzo drogim sklepie zrobiliśmy zakupy na 2 dni). Najpierw 15 km grzecznie z wiatrem, a potem rozpoczęła się 30-kilometrowa męczarnia z wiatrem w twarz. Noc spędziliśmy przy gospodarstwie rolnym starszego mężczyzny, który cały wieczór objeżdżał swoje „włości” na quadzie. Krajobrazy widziane tego dnia można opisać trzema słowami: lodowiec i pustynia.



Dzień 8 czyli tropami Hollywoodzkich gwiazd
95 km

Dzień bardzo przyjemny. Wiało w twarz przez ponad 60 km, ale walczyliśmy nie poddając się co zaowocowało stosunkowo niezłym dystansem. Po drodze warto odnotowania było jezioro Jokulsarlon – jezioro lodowca topi się nieustannie tworząc głębokie jezioro. Odłamujące się od masy lodowca pływają w wodzie w formie gór lodowych - tworzy to niesamowity krajobraz. Jak się dowiedzieliśmy, były tam kręcone między innymi sceny do dwóch filmów o Jamesie Bondzie (m.in. Die another day) oraz Batmana (Batman begins). Po jeziorze można przepłynąć amfibią - podarowaliśmy sobie tę przyjemność, która by nam wyczyściła portfel i pojechaliśmy dalej. Kilkanaście kilometrów przed Hofn znaleźliśmy polską flagę w przydrożnym rowie – szybko stwierdziliśmy, że musimy bronić honoru polskich symboli narodowych – flaga powędrowała na mój bagażnik i przypięta

ekspanderami dumnie powiewała do końca wyprawy. Do Hofn nie dojechaliśmy, rozbiliśmy się w miejscowości wcześniej, na ogródku pewnego, słabo mówiącego po angielsku Islandczyka, który najpierw koło nas na działce umył samochód, a potem wyjechał i nigdy więcej go nie widzieliśmy.



Dzień 9 czyli Islandia pokazuje pazurki
75km

Rano zajechaliśmy na kemping w Hofn. Miejsce przyjemne, prysznic bardzo tani (100kr za 4 min), w środku przyjemne miejsce do siedzenia, do publicznego użytku toster, opiekacz i czajnik. Dodatkowo na ławkach przed głównym budynkiem na kempingu poznaliśmy młodego Hiszpana objeżdżającego Islandię na motocyklu. Korzystał z notebooka więc poprosiliśmy go o przysługę i zgraliśmy zdjęcia z aparatu na pendrive'a. Jeszcze tylko szybkie zakupy w Netto (sklep czynny od 10.00) i już byliśmy w trasie. Najpierw bardzo mocny wiatr utrudniał nam dojazd do tunelu – za tunelem przez kilkanaście kilometrów dało się jechać, ale na fiordach praktycznie jazda była niemożliwa – jedynie na podjazdach mieliśmy trochę oddechu. Wiatr szarpał nami, ściągał do rowu i wyrzucał na środek drogi – był całkowicie nieprzewidywalny. W pewnym momencie silniejszy podmuch rzucił mnie do rowu, przyczepka na szczęście się wypięła, a ja z moim „żelaznym rumakiem” musiałem podnosić się z rowu. Na szczęście ani mi, ani sprzętowi nic się nie stało. Długo walczyliśmy, częściej jednak prowadziliśmy rowery niż jechaliśmy na nich. Naprawdę nie wiem jak nam się udało wykręcić aż 75 km w takich warunkach.

Początkowe kilka fiordów było niezamieszkane i dopiero ok. 22.00 dotarliśmy do pierwszych zabudowań, gdzie miły gospodarz pozwolił nam się rozbić w ogródku, pomiędzy drzewami które osłoniły namiot od wiatru.



Dzień 10 czyli to już nie pazurki ale wielkie szponiszcz
110km (z tego na rowerze 37 a reszta stopem)

Silny wiatr uniemożliwiał jazdę już od samego początku. Postanowiliśmy, że będziemy pchać rowery i machać na stopa co większym autom. Raz się zagapiliśmy i przemknął koło nas duży czerwony pickup. W geście rozpaczy krzyknąłem za nim i desperacko pomachałem rękami – nasze zaskoczenie było ogromne, ponieważ 100 metrów po minięciu nas zatrzymał się i wycofał żeby nas zabrać. Rowery wylądowały z tyłu a my szczęśliwi wsiedliśmy z sakwami do środka. Osobą, która wyciągnęła ku nam pomocną dłoń, okazał się młody student jakiegoś inżynierskiego kierunku na uniwersytecie w Reykjavíku, który pracował przy obsłudze dróg na Islandii (nie wnikaliśmy w szczegóły). Chłopak zawiózł nas do Djúpivogur (35km) i wysadził nas na parkingu przed basenem (do dziś zastanawiamy się czy to była sugestia na temat naszego stanu higieniczno - aromatycznego, czy też tak mu było wygodniej). Stwierdziliśmy, że skoro wiatr jest taki mocny to może odprężymy się na basenie, a w tym czasie wiatr może choć trochę osłabnie. Za 450 koron (niewiele ponad 10 zł) mieliśmy do dyspozycji duży basen do pływania (28 stopni C), do tego 3 małe baseniki z wodą o rosnącej temperaturze (32, 36-38, 42 stopnie C). Szczęśliwi wykąпалиśmy się, wymoczyliśmy i zjedliśmy w środku obiad (jak zwykle

kanapki). Gdy wyszliśmy czyści i pachnący z basenu, okazało się, że wiatr nie, tylko zmienił kierunek - wiał teraz od lądu do morza. Długość fiordu to ok. 20 km, więc postanowiliśmy, że jakoś przepchamy rowery przez te 20 km, a potem drugą połowę fiordu, od lądu do morza, pokonamy bez wysiłku. Jechać udało się przez 4 km. Potem musieliśmy pchać rowery 8 km.



W pewnym momencie złapał mnie kryzys, rzuciłem rower i stwierdziłem, że to nie ma sensu - co jakiś czas mijały nas duże auta (kampery, pickupy) więc zarządziłem postój, rowery wylądowały na poboczu, a my zacząłem machać próbując zatrzymać jakieś auto. Muszę przyznać, że to było dziwne uczucie, gdy wiatr był tak silny, że zwiewał do rowu nawet wtedy, gdy nic się nie robiło, a jedynie machało ręką na stopa. Długo nikt nam się nie zatrzymywał, jednak w końcu się udało - stanęły przy nas 4 kampery, z których jeden miał bagażnik rowerowy - szybko załadowaliśmy na niego rowery, do tego samego kampera powędrowały nasz sakwy, a my wsiedliśmy do drugiego. Turyści w tych autach byli francuzami - oni słabo znali angielski, ja pamiętałem tylko kilka słów po francusku, ale jakoś udało nam się dogadać. Zawieźli nas do Berunes, wioski po drugiej stronie fiordu. Była wtedy godzina 16. Dojrzelismy wtedy do decyzji żeby uciekać z fiordów autobusem, więc z Berunes postanowiliśmy dojechać do Breiodalsvika, gdzie mieliśmy nadzieje znaleźć sklep, miejsce na nocleg i rano pojechać do Eggillsstadir autobusem. Wiatr zweryfikował nasze postanowienia, co do „jazdy”. Z wiatrem lecieliśmy bez żadnego wysiłku

35km/h po płaskim, jednak jak zakręciliśmy pod wiatr, to znowu trzeba było zsiąść z rowerów i pchać- w efekcie przejazd 20km zajął nam ok. 3 h. Rozbiliśmy się w zagajniku leśnym koło stacji benzynowej. Gdy Magda zajęła się rozbijaniem namiotu ja poszedłem na poszukiwania informacji o autobusach. Okazało się, że jest jeden autobus dziennie, o godzinie 11 co nam bardzo odpowiadało. Na kolacje był jak zwykle makaron, ale warty odnotowania że wkroiliśmy do niego kupione wcześniej grillowe parówki. Fakt, jak się pewnie domyślacie, były to najtańsze parówki w całym sklepie co nie zmienia faktu że tak niedobrego i obrzydliwego mięsa dawno nie jedliśmy.... Wylądowało w koszu a my, przeklinając własną oszczędność, zjedliśmy sam makaron z sosem w proszku

Dzień 11 czyli z deszczu pod rynnę.

81km autobusem

+

30 km na rowerach

Autobus był bardzo drogi: 2000kr (rower) + 2400 (bilet) = 4400 kr (ok. 115 zł - kolejny przykład absurdalnych cen na wyspie)

W Eggillsstadir autobus zatrzymał się pod Bonusem. Skorzystaliśmy z okazji, zrobiliśmy wielkie zakupy na kilka dni i popedałowaliśmy dalej. Pogoda była beznadziejna - przestało wiać ale dokuczała nam zimna, mroząca kości mżawka. Za miastem rozpoczął się długi, kilkunastokilometrowy podjazd. Chmury były bardzo nisko, już po 5 km, w miarę pokonywania kolejnych podjazdów, widoczność spadła do 75metrów. Wspólnie stwierdziliśmy, że szkoda naszego zdrowia i postanowiliśmy się szybko rozbić. Kłopot jednak był taki, że wzdłuż drogi widać było pobocze, rów, płot na owce i tyle.... Postanowiliśmy odbić prawo w szosę nr 917 na Hrafnabjork. Po 2 km po lewej, tuż przy drodze zobaczyliśmy zarys wielkiego budynku. Z bliska okazało się że jest to szkoła podstawowa. Obeszliśmy wszystko dookoła, pukaliśmy w każde drzwi, jednak nie było nikogo. Z tyłu znaleźliśmy mały drewniany domek, w którym prawdopodobnie mali Islandczycy w ramach zajęć biologii opiekowali się królikami: były boksy, lampy grzewcze, pojniki, nawet miseczki z suchą karmą. Domek był otwarty i na tyle duży, że zmieściły się tam 2 karimaty i nasze bagaże. Znaleźliśmy nawet kontakt w którym doładowaliśmy komórki i aparat fotograficzny... zapach trochę przeszkadzał, ale było to jedyne suche miejsce jakie znaleźliśmy, nie wiało a my musieliśmy się wygrzać żeby przypadkiem nie złapać jakiejś choroby w połowie wyprawy.

Dzień 12 czyli jeden wieeeeeeeelki podjazd

118km (rekord wyjazdu)

Pobudkę urządziliśmy o 7 rano (poprzedniego dnia poszliśmy spać o 19). Szybkie śniadanie i w trasę. Rano chmury nisko wisały, ale nie na tyle żeby ograniczały widoczność. Pierwsze 30 km przejechaliśmy bardzo szybko, mimo że były wyraźnie pod gore (pomógł nam wiejący w plecy wiatr). Koło południa zaczęło się systematycznie przejaśniać i po południu było już piękne słońce. Najważniejsze tego dnia były podjazdy - pierwszy znaczący zjazd, który wyraźnie świadczył o tym, że

będzie „bardziej w dół niż w górę” był dopiero po przejechaniu 77 km! Po drodze krajobrazy urzeżały swoim pięknem: rzeki w głębokich kanionach, piękne góry i formy wulkaniczne... było po prostu cudownie. Do przejechania 118 km zachęciła nas wizja kempingu, na którym planowaliśmy się wykapać, a który wg mapy znajdował się 3km od głównej „jedyńki” na drodze do wodospadu Dettifos. Zmęczeni i głodni dotoczyliśmy się tam ok. 21, gdzie okazało się że prysznic nie ma, a młoda dziewczyna chwalcą się, że zarządza tym „Polem Namiotowym” (łąka z umywalką z zimną wodą i toaletą) zaśpiewała 500kr za prysznic od osoby. Stwierdziliśmy, że nie damy się wykorzystywać i rozbiliśmy się kilkaset metrów przed zabudowaniami. Najgorsze jednak było to, że w ciągu dnia, gdy chcieliśmy zjeść Vifona , skończył się nam gaz butli. Pod wieczór , musieliśmy zjeść prawie cały nasz chleb, który miał być na śniadanie, zamiast jak zwykle makaronu.



Dzień 13 czyli piękna europejska Niagara przyprawiana „śmierdzącym” błotkiem
30 km na rowerach
40 km autostopem

Rano zjedliśmy nasze zapasy żywności, podrzuciliśmy na łąkę zwącą się dumnie polem namiotowym rowery i poszliśmy na stopa, żeby zobaczyć wodospad Dettifoss, wg przewodnika najpotężniejszy wodospad Europy (jeśli za kryterium wziąć przepływ wody). Szwajcarska, 6osobowa rodzina zabrała nas małą furgonetką na stopa i wspólnie pojechaliśmy podziwiać ten cud natury. Droga była typowym islandzkim szutrem (pylista droga, tarka z poprzecznymi karbowaniami. W drodze powrotnej mieliśmy dylemat czy wracać do rowerów i jechać do jeziora Myvatn czy dalej na północ zwiedzać kanion. Postanowiliśmy łapać stopa w obie strony i zabrać się w tym kierunku w który m będzie jechało pierwsze auto chcące nas podwieźć. Pierwszym takim samochodem kierowała.... Rodzina szwajcarów która jak nas zobaczyła od razu się zatrzymała i zaprosiła na do auta. Z nimi wrociliśmy do rowerów. W jednym z domów niedaleko rowerów kupiliśmy od jednej z gospodyń chleb (tylko 250 kr). Po zjedzeniu kilku kanapek pojechaliśmy nad jezioro Myvatn do którego mieliśmy 35km.



Po drodze zrobiliśmy tylko krótką przerwę na zjedzenie kanapek mocząc nogi w pobliskim potoczku w którym ku naszemu zdziwieniu płynęła ciepła woda. Tuz przed samym jeziorem warto zatrzymać się na polu geotermalnym Hvirir – olbrzymi

obszar pokryty wrzącymi kotłami, kamiennymi stosami syczącymi od przelatującej przez nie pary czy też kolorowymi stokami pobliskich gór. Bardzo ładne miejsce jednak niesamowicie śmierdzące charakterystycznym, siarkowo - jajecznym zapachem. Gdy przyjechaliśmy nad jezioro Reykjahlid to od razu skierowaliśmy się na pobliską stację benzynową (która pełniła też rolę drogiego sklepu spożywczego) żeby kupić butlę gazową. Niestety nie mieli nakręcanych kartuszy, a jedynie nabijane naboje gazowe. Planowaliśmy spędzić przynajmniej 2 noce nad jeziorem, do najbliższego dużego miasta mieliśmy ok. 100 km więc zaświeciła nam w oczy wizja kolejnych kilku dni bez ciepłego posiłku. W akcie desperacji pojechaliśmy na pobliskie pole namiotowe w poszukiwaniu informacji o tym gdzie ewentualnie można dostać takie kartusze. Recepcjonistka nie wykazywała się zbyt dużą „lotnością umysłu”, ale na szczęście jak 4 raz tłumaczyłem jej o co mi chodzi, podszedł do mnie przysłuchujący się rozmowie facet (okazał się taką „złotą rączką” na polu namiotowym) i powiedział żebyśmy mu pokazali moją pustą butlę a on zobaczy co może zrobić. Gdy ją zobaczył, zaprowadził mnie do swojego warsztatu gdzie miał pudło pełne częściowo pustych butli. Wybrał dwa duże kartusze i sprzedał je nam za 1000kr. Okazało się to dla nas zbawienne, butle były na tyle pełne, że wy starczyły nam do końca wyjazdu. Korzystając z pobytu na kempingu wzięliśmy tam prysznic , jedliśmy ciesząc oczy widokiem pięknego jeziora i rozbiliśmy się w lesie (jeden z nielicznych na Islandii) pomiędzy drzewami.

Dzień 14- trekking po księżycowych formach Islandii, czyli jak zasłużyć sobie na gorącą kąpiel w lazurowym basenie
8km

Rano spakowaliśmy namiot i wszystkie rzeczy, bagaże wrzuciliśmy w krzaki a rowery zostawiliśmy na stacji benzynowej gdzie zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy na całodzienną wędrowkę po okolicznych szlakach turystycznych. Skierowaliśmy się na północ, szlakiem na wulkan Krafla. Dominował krajobraz wulkaniczny, przez ponad 10 kilometrów maszerowaliśmy polami pełnej czarnej zastygłej lawy a na końcu znajduje się księżycowy krajobraz pełen dymiących szczelin, żółto czerwono srebrnych plam, i kolorowych jezior. Jeśli ktoś chce coś zobaczyć w okolicach jeziora Myvatn to zdecydowanie, z czystym sercem polecamy ten szlak. Żadne inne miejsce, jakie zobaczyliśmy kolejnego dnia nie było takie urzekające ani odmienne od typowych, kontynentalnych krajobrazów. W drodze powrotnej jechaliśmy stopem do drogi nr 1 z trzysobową, holenderską rodziną a potem do Reykjahlid z parą Hinduskich turystów. Jak przybyliśmy na miejsce to szybko przekąsiliśmy kilka kanapek i popedałowaliśmy zażyć zasłużonego odpoczynku w basenach Nature Bath (bilet normalny 2600kr – 67zł, ulgowy 2000kr - 52zł) Basen bardzo przyjemny, woda cudownie niebieska, nieprzejrzysta i ciepła. Pływa w małym jeziorze o naturalnym dnie i głębokości ok. 150cm. Dla leniwych, jest też długa, podłużna rynna do siedzenia z tą samą wodą. Od strony organizacyjnej uderzył nas brud i smród w szatniach i toaletach. Nie jesteśmy specjalnie wymagający, ale za takie pieniądze to można wymagać żeby toaleta nie była zapchana i nie śmierdziała. Rozbiliśmy się na tym samym miejscu z tą różnicą, że obok, na polanie towarzyszyły nam 2 kampery.



Dzień 15 piękna pogoda, czysta woda, piękne krajobrazy, czyli chce się żyć 31km

Wstaliśmy ok. 10-tej i wymoczyliśmy się w podziemnych, skalnym jezioru w którym woda ma ok. 25 stopni. Miejsce fantastyczne, jeśli ktoś się tam wybiera to koniecznie powinien tam zawitać (na maila mogę wysłać dokładne informacje jak tam trafić), do którego my trafiliśmy przypadkiem. Kilka razy przechodziliśmy w jego okolicach, lecz zdecydowaliśmy się tam wejść dopiero jak zobaczyliśmy ludzi z ręcznikami wspinających się po drabinie z załomu skalnego, który był przy naszej ścieżce. Cały nasz dobytek zostawiliśmy na stacji benzynowej i powędrowaliśmy tym razem na południe, najpierw wdrapaliśmy się na wulkan Hverfjall (olbrzymi krater o średnicy ok. 1km całkowicie pozbawiony roślinności) a potem podreptaliśmy oglądać skalne, wulkaniczne miasto Dimmuborgir. Cała trasa to ok. 8km. Wróciliśmy autostopem na pole namiotowe gdzie zjedliśmy i ruszyliśmy w stronę Akureyri, po drodze oglądając jeszcze pseudokratety (pozostałości po podwodnym wybuchu pary wodnej).Namiot rozbiliśmy nad rzeką, ujściem jeziora Masvatn. Warto dodać, że od czasu domku Królika był to kolejny dzień pięknej pogody (tego dnia to był pierwszy dzień jazdy w krótkich spodenkach!) Zależało nam żeby zbliżyć się jak najbardziej do Akureyri, gdzie czekał na nas obiecany nocleg pod dachem przez Marcina, polskiego studenta z Warszawy przebywającego tam na rocznym granicie.

Część druga za tydzień.

